Życie i przygody Nicholasa Nickleby 1

CHARLES DICKENS

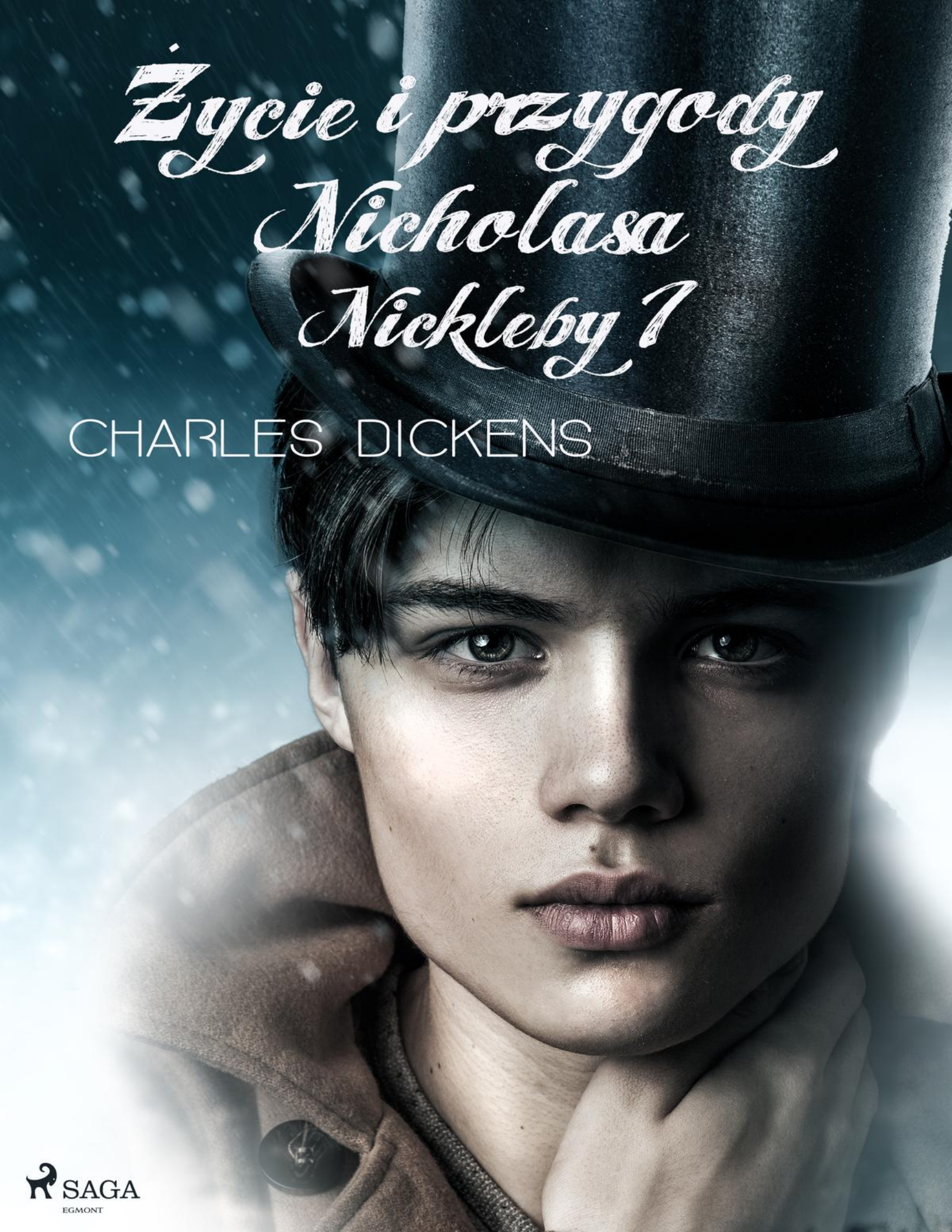

SAGA
EGMONT

Życie i przygody Nicholasa Nickleby 1

CHARLES DICKENS

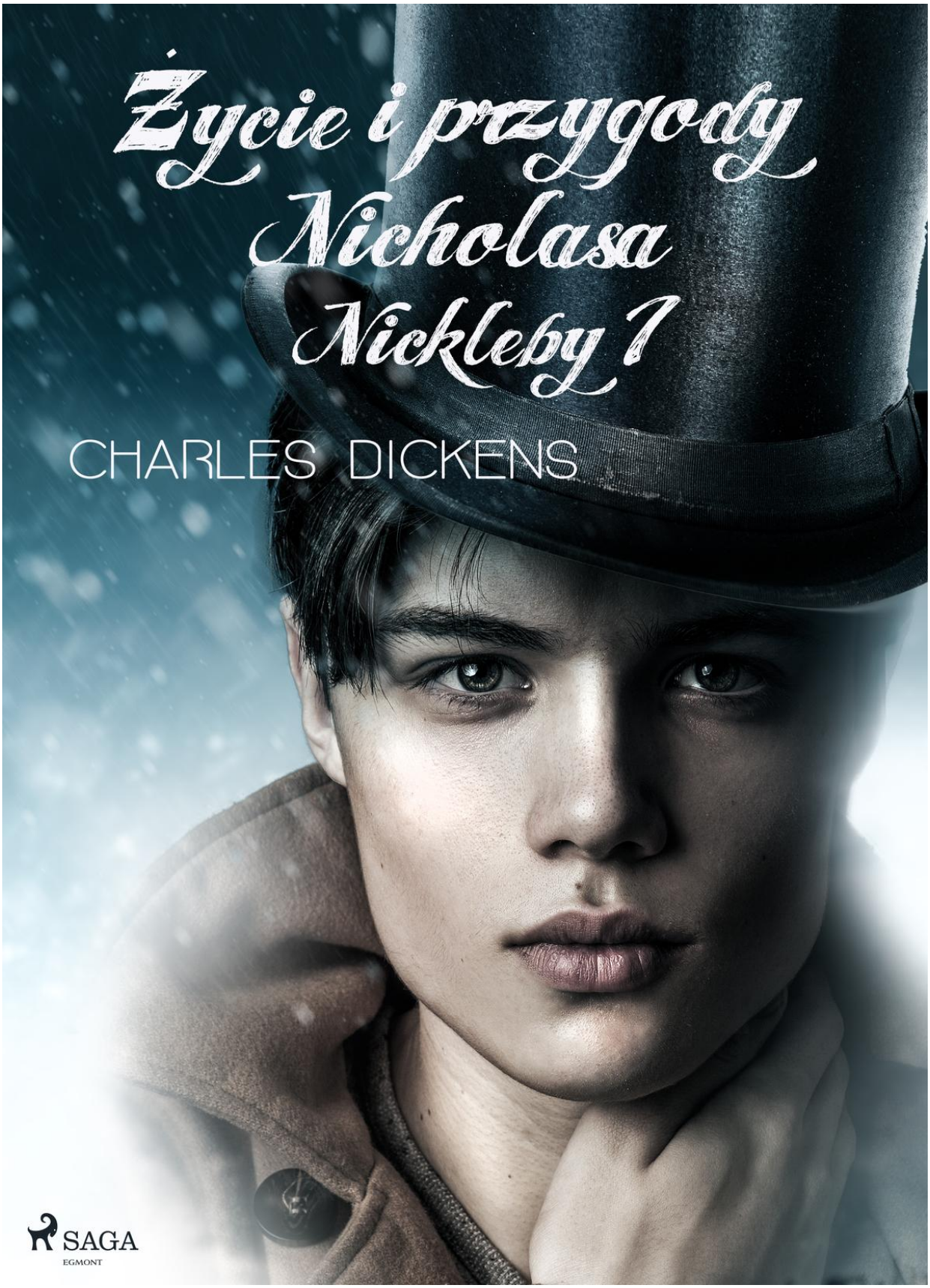

SAGA
EGMONT

Charles Dickens

Życie i przygody Nicholasa Nickleby tom 1

tłumaczyli
Tadeusz J. Dehnel
Anna Przedpełska-Trzeciakowska

Saga

Życie i przygody Nicholasa Nickleby tom 1

Tłumaczenie Tadeusz Jan Dehnel, Anna Przedpełska-Trzeciakowska

Tytuł oryginału *The Life and Adventures of Nicholas Nickleby*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1839, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728387337

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.
Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com
Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

OSOBY

PAN WALTER BRAY — chory, zrujnowany hulaka-samolub
BROOKER — przestępca; niegdyś kancelista pana Ralfa Nickleby
JOHN BROWDIE — krzepki, zacny obywatel Yorkshire
BRACIA CHEERYBLE (CHARLES i EDWIN) — bliźniacy, współwłaściciele firmy „Bracia Cheeryble” i filantropi o wielkim sercu
FRANK CHEERYBLE — ich bratanek
PAN CROWL — sąsiad Newmana Noggsa
PAN WINCENTY CRUMMLES — dyrektor wędrownego teatru
MŁODZI PANOWIE CRUMMLES — jego synowie
PAN FOLAIR — tancerz i pantominista
PAN GREGSBURY — członek Parlamentu
ARTUR GRIDE — stary sknera
SIR MULBERRY HAWK — światowiec i szuler
PAN KENWIGS — sąsiad Newmana Noggsa
TOMASZ LENVILLE — tragik z teatru pana Wincentego Crummlesa
PAN LILLYVICK — poborca opłat za wodę
TIM LINKINWATER — buchalter firmy „Bracia Cheeryble”
PAN ALFRED MANTALINI — leń i marnotrawca; mąż Madame Mantalini
NICHOLAS NICKLEBY — zubożały na skutek niefortunnych spekulacji ojca młody człowiek, który sam radzi sobie w życiu

PAN RALF NICKLEBY — sknera i lichwiarz; stryj Nicholasa Nickleby
NEWMAN NOGGS — kancelista i popychadło pana Ralfa Nickleby
PAN PLUCK — zausznicy i pochlebcy sir Mulberry Hawka
PAN PYKE — zausznicy i pochlebcy sir Mulberry Hawka
SMIKE — zagłodzony, niedorozwinięty wychowanek szkoły pana Squeersa
PAN SNAWLEY — łotr, świętoszek i hipokryta
WACKFORD SQUEERS — okrutny, chciwy ignorant, właściciel szkoły w Yorkshire
WACKFORD SQUEERS JUNIOR — jego syn
LORD FRYDERYK VERISOPHT — głupkowaty młody arystokrata
PAN HENRYK WITITTERLY — dżentelmen z klas średnich
PANNA BELVAWNEY — aktorki z teatru pana Wincentego Crummlesa
PANNA BRAVASSA — aktorki z teatru pana Wincentego Crummlesa
MADELINA BRAY — córka pana Waltera Braya
PANI CRUMMLES — żona pana Wincentego Crummlesa
PANNA NINETTA CRUMMLES — „cudowne dziecko”
PANI GRUDDEN — aktorka i totumfacka pani Crummles
PANI KENWIGS — żona pana Kenwigsa i siostrzenica pana Lillyvicka
MORLEENA KENWIGS — jej córka
PANNA KNAG — kierowniczka pracowni w salonie mód Madame Mantalini
PANNA LA CREEVY — poczciwa miniaturzystka w starszym wieku
PANNA LEDROOK — aktorki z teatru pana Wincentego Crummlesa

PANI LENVILLE — aktorki z teatru pana Wincentego Crummlesa
PANNA LINKINWATER — siostra Tima Linkinwater
MADAME MANTALINI — właścicielka wytwornego salonu mód
PANI NICKLEBY — matka Nicholasa Nicleby
KATE NICKLEBY — jej córka
PANNA HENRIETTA PETOWKER — aktorka
MATYLDA PRICE — przyjaciółka panny Fanny Squeers
PEG SLIDERSKEW — gospodyni Artura Gride'a
PANNA SNEVELLICCI — aktorka z teatru pana Wincentego Crummlesa
PANI SQUEERS — żona pana Wackforda Squeersa
PANNA FANNY SQUEERS — jej córka
PANI JULIA WITITTERLY — żona pana Henryka Wititterly

Uwaga: zgodnie ze zwyczajem przyjętym w XVIII i XIX wieku przez powieściopisarzy angielskich niektóre nazwiska w tej powieści mają pewne znaczenie, tak więc: Cheeryble pochodzi od słowa: cheer — radować się, dodawać otuchy; Hawk po angielsku znaczy jastrząb; Gride pochodzi od słowa greedy — chciwy; Squeers od słowa: squeeże — wyciskać, wykorzystywać, Verisopht składa się z dwóch słów: very — bardzo i soft — miękki, niedołężny. (przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ I

który wprowadza w tok całości

W odludnym zakątku hrabstwa Devon żył sobie ongiś niejaki pan Godfrey Nickleby. Ten godny dżentelmen doszedł (może trochę zbyt późno) do wniosku, iż powinien się ożenić, a że nie był dostatecznie młody czy bogaty na to, by ubiegać się o rękę jakiejś posażnej damy, poślubił — z prostego przywiązania — osobę, w której kochał się niegdyś, ta zaś ze swej strony przyjęła go dla tych samych względów. W podobny sposób dwoje ludzi, których nie stać na grę w karty o pieniądze, dla samej przyjemności zasiada niekiedy do spokojnej partyjki.

Osoby niedelikatne i skłonne do drwin ze stanu małżeńskiego powiedzą, być może, w tym miejscu, że tę zacną parę należy raczej porównać z dwoma przeciwnikami w walce na pięści, którzy kiedy szczęście im nie dopisze i suma zakładów jest niska, po rycersku przystępują do dzieła dla prostej przyjemności okładania się kułakami. Takie porównanie będzie słuszne z jednego przynajmniej względu. Podobnie bowiem jak po walce awanturnicza dwójka z Fives’ Court z kapeluszem w ręku obchodzi widzów, w nadziei, że publiczność w swej hojności dostarczy im środków na wyprawienie biesiady — tak pan Godfrey Nickleby i jego towarzyszka, kiedy minął już miodowy miesiąc, zaczęli niespokojnie rozglądać się po świecie, w niemałej licząc mierze na szczęśliwy przypadek, który mógłby pomnożyć ich zasoby pieniężne. Dochody pana Nickleby w tym okresie pożycia

małżeńskiego wahały się bowiem od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu funtów *per annum.*

Dosyć jest ludzi na świecie, Bóg mi świadkiem. Nawet w Londynie (gdzie pan Nickleby zamieszkiwał w owym czasie) rzadko słyszy się skargi, iż jest ich zbyt mało. Dziwna to więc rzecz, że człowiek może tak długo rozglądać się w tłumie i na próżno szukać przyjaznego oblicza — dziwna, niemniej prawdziwa. Pan Nickleby rozglądał się i rozglądał, aż wreszcie oczy jego stały się równie obolałe jak serce, lecz mimo to nie dojrzał przyjaciela. Wówczas, zmęczony poszukiwaniem, skierował wzrok na swój dom rodzinny, lecz i tam niewiele znalazł pociechy. Malarz, który zbyt długo patrzył na barwy jaskrawe, daje wytchnienie zmęczonym oczom kierując je na ciemniejsze i bardziej ponure kolory. Ale wszystko, na czym mógł spocząć wzrok pana Nickleby, malowało się w tak czarnych i posępnych tonach, że tylko odwrotny kontrast mógłby mu przynieść ulgę.

Po pięciu latach wreszcie, kiedy pani Nickleby obdarzyła już małżonka dwoma synami, a skłopotany dżentelmen, gorąco pragnąc zabezpieczyć los rodziny, poważnie roztrząsał w myślach plan małej spekulacji (zamierzał bowiem ubezpieczyć się na życie począwszy od nowego kwartału, a później spaść przypadkowo ze szczytu Monumentu [1]), któregoś ranka przyszedł zwykłą pocztą list z czarną obwódką, zawierający wiadomość o śmierci stryja pana Nickleby, Ralfa, oraz o tym, że zapisał on bratankowi swój niewielki majątek, wartości około pięciu tysięcy funtów szterlingów.

Przez całe życie zmarły okazał panu Nickleby tylko jeden dowód zainteresowania, kiedy to jego pierworodnemu (którego rodzice z beznadziejnego, zdawałoby się, wyrachowania ochrzcili imieniem stryjecznego dziada) przysłał srebrną łyżkę w safianowym futerale.

Ponieważ jadło, do którego miała służyć, nie było zbyt obfite, dar ten mógł być swego rodzaju złośliwym przypomnieniem, że młody człowiek urodził się bez tego pożytecznego narzędzia w ustach [2]. Pan Godfrey Nickleby nie mógł więc zrazu uwierzyć w nowinę. Ale po dokładniejszym zbadaniu okazało się, że jest ona najzupełniej prawdziwa. Miły staruszek zamierzał, jak się zdaje, pozostawić cały swój majątek Royal Humane Society [3] i, prawdę mówiąc, sporządził już testament w tym duchu. Ponieważ jednak nieszczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności wspomniana instytucja przed paru miesiącami uratowała życie pewnemu ubogiemu krewnemu pana Ralfa, któremu ten ostatni wypłacał zasiłek w kwocie trzech szylingów i sześciu pensów tygodniowo — w przystępie zupełnie zrozumiałego rozżalenia dżentelmen ów sporządził kodycyl, w którym odrzucił zapis i obdarzył nim pana Godfreya Nickleby, nie pominąwszy przy tym wzmianki o swym oburzeniu nie tylko na towarzystwo za to, że ocaliło życie ubogiemu krewniakowi, ale i na ubogiego krewniaka za to, że pozwolił się uratować.

Za część schedy pan Godfrey Nickleby nabył małą farmę pod Dawlish, w Devonshire, gdzie schronił się wraz z żoną i dwojgiem dzieci, by żyć spokojnie z najwyższych procentów, jakie zdołał uzyskać od reszty kapitału, oraz ze skąpych płodów swej ziemi. Oba te źródła dochodów tak prosperowały, że pan Nickleby umierając — po piętnastu mniej więcej latach od chwili otrzymania spadku, a w pięć lat po śmierci żony — mógł pozostawić starszemu synowi, Ralfowi, trzy tysiące funtów w gotówce, a młodszemu, Nicholasowi, okrągły tysiąc i farmę, jedną z najmniejszych posiadłości ziemskich, jakie można sobie wyobrazić.

Obaj bracia wychowywali się razem w pewnej szkole w Exeter, a podczas cotygodniowych odwiedzin w domu

często słuchali długich opowieści matki o strapieniach ojca w dniach ubóstwa i o wielkości nieboszczyka stryjecznego dziada w dniach dostatku. Na każdego z nich opowiadania te wywierały zgoła odmienny wpływ. Młodszy bowiem, z natury nieśmiały i lubiący samotność, znajdował w nich tylko ostrzeżenie, by unikać szerokiego świata i oddać się raczej monotonii wiejskiego życia. Starszy natomiast, Ralf, wyciągnął z często powtarzanej opowieści dwie wielkie nauki moralne: przede wszystkim, że bogactwo jest jedynym źródłem szczęścia i władzy, a po wtóre, że godziwym i słusznym jest zdobywanie go wszelkimi środkami nie stojącymi w wyraźnej kolizji z przepisami prawa.

„Przecież — rozumował Ralf — jeżeli nawet pieniądze mego dziada niewiele przyniosły dobrego za jego życia, to ileż zdziałały po jego śmierci! Dostał je przecież mój ojciec i przechowuje je dla mnie, co jest bez wątpienia celem godnym najwyższej pochwały. A zresztą wracając do starszego pana, i jemu pieniądze niemało przyniosły korzyści, z przyjemnością bowiem myślał o nich przez długie lata swego życia, a cała rodzina zazdrościła mu i zabiegała o jego względy.”

Takie nieme monologi Ralfa kończyły się zawsze wnioskiem, że nic na świecie nie dorówna pieniądzom.

Obiecujący ten chłopczyna nie ograniczał się wszakże do samej teorii ani pozwalał swym zdolnościom rdzewieć wśród oderwanych spekulacji myślowych. Już w czasach szkolnych zaczął uprawiać drobną lichwę, wypożyczając na wysoki procent swój szczupły kapitalik rysików i marmurków [4], a stopniowo rozszerzając zakres działalności objął nim nawet monety miedziane, którymi zaczął spekulować z wielkim powodzeniem. Nie trudził bynajmniej swych dłużników zawiłymi obliczeniami i nie zmuszał ich do głowienia się nad tablicami

rachunkowymi, lecz własną prostą regułę obliczania odsetek zamknął w sentencji: „Dwa pensy, za pół pensa”. Zasada taka niezwykle upraszcza rachunki, a jako krótka maksyma łatwiejsza jest do wyuczenia i zapamiętania niż inne reguły arytmetyczne, śmiało więc można jak najgoręcej polecić ją uwadze mniejszych i większych kapitalistów, a zwłaszcza lichwiarzy i prywatnych dyskonterów. Aby jednak oddać tym panom sprawiedliwość, zaznaczyć należy, iż wielu z nich do dziś dnia stosuje ten system często i z niemałym powodzeniem.

W podobny sposób młody Ralf Nickleby uniknął drobiazgowych i zawiłych obliczeń za każdy dzień z osobna, które to obliczenia nastręczają tyle kłopotów przy stosowaniu w praktyce reguły odsetek prostych. Ustalił raz na zawsze, że wszystkie sumy wraz z procentami uiszcza się w dzień wypłaty kieszonkowego, to znaczy w sobotę, przy czym wysokość odsetek jest zawsze taka sama, bez względu na to, czy pożyczka została udzielona w poniedziałek, czy też w piątek. Dowodził też ze znaczną dozą rozsądku, iż za jeden dzień należałoby raczej liczyć więcej niż za pięć, ponieważ w pierwszym ze wspomnianych wypadków dłużnik musi być w istotnie wielkiej potrzebie, w przeciwnym bowiem razie nie zaciągałby pożyczki na tak niedogodnych dla siebie warunkach. Fakt ten zasługuje na baczną uwagę, jako dowód tajemniczych więzów pokrewieństwa, łączących zawsze wybitne umysły, bo jakkolwiek młody Ralf Nickleby nie wiedział o tym wówczas, dżentelmeni wyżej wspomnianej kategorii mają zwyczaj stosować taką samą zasadę we wszystkich swoich transakcjach.

Z tego, cośmy dotychczas o tym młodym człowieku powiedzieli, i z naturalnego podziwu, jaki charakter jego powinien od razu wzbudzić w czytelniku, można by sądzić, że to on właśnie ma być bohatererm rozpoczynającej się

powieści. Żeby więc rozstrzygnąć tę kwestię raz na zawsze, z pośpiechem wyprowadzamy czytelnika z błędu i wracamy do naszego wątku.

Po śmierci ojca Ralf Nickleby, który od jakiegoś czasu był na praktyce w pewnym domu handlowym w Londynie, poświęcił się z całym zapałem dawnej swej namiętności zdobywania pieniędzy, która tak go pochłonęła, że zajęty własnymi sprawami na długie lata zapomniał zupełnie o bracie. Jeżeli zaś wspomnienie towarzysza dziecięcych zabaw zdołało niekiedy przedrzeć się przez opary, wśród jakich żył (złoto bowiem otacza człowieka mgłą, która niszczy dawne uczucia i usypia pamięć skuteczniej niż czad węgla drzewnego) — wspomnieniom takim towarzyszyła zawsze uboczna myśl, że gdyby utrzymywali bliskie stosunki, brat pewnie chciałby pożyczać od niego pieniądze. Toteż pan Ralf Nickleby wzruszał tylko ramionami i mówił sobie, że dobrze jest tak, jak jest.

Tymczasem Nicholas żył na ojcowiźnie w kawalerskim stanie, aż wreszcie znudziła mu się samotność i pojął za żonę córkę sąsiada, która wniosła mu w posagu tysiąc funtów. Poczciwa ta dama obdarzyła go dwojgiem dzieci — synem i córką. Kiedy syn miał dziewiętnaście lat, a córka około czternastu (tak przynajmniej można przypuszczać, bo przed wprowadzeniem nowej ustawy nie przechowywano nigdzie w archiwach naszego kraju bezstronnych dokumentów świadczących o wieku młodych dam) — pan Nickleby zaczął szukać jakichś sposobów uzupełnienia kapitału, dotkliwie uszczuplonego na skutek wydatków związanych z powiększeniem rodziny i edukacją dzieci.

— Powinieneś zacząć spekulować... — rzekła pani Nickleby.

— Spe-ku-lo-wać, moja kochana? — odparł pan Nickleby z niejakim powątpiewaniem.

— A czemuż by nie? — spytała pani Nickleby.

— Ponieważ, moja kochana, gdybyśmy utracili te resztki — tłumaczył pan Nickleby, który miał zwyczaj mówienia powoli i rozwlekle — gdybyśmy je utracili, nie mielibyśmy potem z czego żyć, moja kochana.

— Głupstwo! — rzuciła pani Nickleby.

— Nie jestem tego tak zupełnie pewien, moja kochana — odrzekł pan Nickleby.

— Mamy przecie Nicholasa — ciągnęła dama. — To już prawie dorosły mężczyzna. Najwyższy czas, żeby sam zaczął myśleć o sobie. A Kate, biedactwo? Wchodzi w świat bez jednego pensa! Pomyśl tylko o swoim bracie! Czy byłby tym, czym jest, gdyby nie spekulował?

— To prawda, istotnie — odparł pan Nickleby. — Dobrze, moja kochana. Tak! Będę spekulował, moja kochana.

Spekulacja to czysty hazard; rozpoczynając grę partnerzy wiedzą o swoich kartach niewiele albo zgoła nic; wygrane mogą być bardzo duże, lecz i przegrane — nie mniejsze. Szczęście nie dopisało panu Nickleby. Zapanowało jakieś szaleństwo, nastąpił krach; czterech maklerów giełdowych nabyło okazałe wille we Florencji; czterystu bezimiennych graczy zostało zrujnowanych — wśród nich znalazł się pan Nickleby.

— Nawet dom, w którym mieszkam — westchnął nieszczęśnik — mogą mi jutro odebrać. Wszystkie moje stare meble rozprzedadzą obcym ludziom.

Ta ostatnia myśl dotknęła go tak boleśnie, że zaraz położył się do łóżka, postanawiając widocznie zachować ten przynajmniej mebel bez względu na dalszy rozwój wydarzeń.

— Głowa do góry, drogi panie! — powiedział lekarz.

— Nie można tak się poddawać — dodała pielęgniarka.

— Takie wypadki zdarzają się codziennie — zauważył adwokat.

— A bunt przeciwko nim jest ciężkim grzechem — szepnął duchowny.

— Człowiek obarczony rodziną nigdy nie powinien tego robić — dorzucili sąsiedzi.

Pan Nickleby potrząsnął tylko głową i wyprosiwszy obcych z pokoju uściskał żonę i dzieci, a kiedy przygarnął je po kolei do słabo bijącego serca, wyczerpany osunął się na poduszki. Niebawem rodzina stwierdziła z przestrachem, że chory utracił przytomność, bo długo i uporczywie bełkotał coś o hojności i dobroci swego brata, a także o wspólnie przeżytych, wesołych szkolnych czasach. Skoro minęło to zamroczenie, pan Nickleby uroczyście polecił rodzinę Temu, który nigdy nie opuszcza wdów i sierot, a potem, uśmiechając się łagodnie do żony i dzieci, odwrócił się twarzą do poduszek i szepnął, że pewno będzie mógł zasnąć.

ROZDZIAŁ II

O panu Ralfie Nickleby, jego siedzibie i zajęciach oraz o pewnej wielkiej spółce akcyjnej, niezmiernie ważnej dla całego kraju

Pana Ralfa Nickleby nie można było nazwać kupcem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie był on też bankierem ani pełnomocnikiem prawnym, ani obrońcą sądowym, ani notariuszem. Z całą pewnością nie był też handlowcem, a tym bardziej nie mógł pretendować do tytułu dżentelmena wolnego zawodu, ponieważ nie można wymienić żadnego uznanego zawodu, do którego by należał. Niemniej jednak pan Ralf Nickleby prowadził albo przynamniej udawał, że prowadzi, jakieś interesy, bo frontowe drzwi jego obszernego domu przy Golden Square zdobiła nie tylko zwykła mosiężna tabliczka, ale i druga, również mosiężna, dwa i pół raza mniejsza i opatrzona jedynie napisem „Kantor”, umieszczona na lewej futrynie tych drzwi, tuż nad mosiężnym odlewem maleńkiej pięści, ściskającej rękojeść złamanej szpady. Jeżeli to wszystko nie wystarczy, za jeszcze jeden dowód rzeczowy posłużyć mogła codzienna obecność bladego mężczyzny w zrudziałym brązowym ubraniu. Pomiędzy godziną pół do dziesiątej rano i piątą po południu przesiadywał on na nadzwyczaj twardym stołku, w pomieszczeniu znajdującym się na końcu korytarza i przypominającym mały pokój kredensowy, a gdy wychodził stamtąd na dźwięk dzwonka, zawsze miał pióro za uchem.

Chociaż kilku przedstawicieli poważnych zawodów mieszka w okolicy Golden Square, rzadko wiedzie tamtędy czyjaś droga. Jest to jeden z ruchliwych niegdyś placów; podupadła dzielnica, która utrzymuje się z wynajmu mieszkań. Na pierwszym i drugim piętrze odnajmuje się umeblowane pokoje kawalerskie albo nawet prowadzi się tam pensjonaty. W dzielnicy tej skupiają się cudzoziemcy. Na Golden Square i sąsiednich ulicach mieszkają mężczyźni o ciemnej cerze, którzy noszą szerokie pierścienie, ciężkie dewizki i krzaczaste faworyty. Gromadzą się oni pod kolumnadą Opery albo w okolicy kasy teatralnej, zwłaszcza w sezonie, pomiędzy czwartą i piątą po południu, kiedy to rozpoczyna się wydawanie biletów gratisowych.

W dzielnicy tej rezyduje również dwoje czy troje skrzypiec z orkiestry operowej, a także jeden puzon. Pensjonaty tamtejsze są bardzo umuzykalnione, a dźwięki fortepianów i harf unoszą się wieczorami nad głową posępnej rzeźby, ducha opiekuńczego kępy bujnych zarośli na środku placu. W letnie wieczory okna stoją otworem i przechodzień dostrzec może grupki śniadych, wąsatych mężczyzn, otoczonych kłębami tytoniowego dymu i siedzących bezczynnie przy parapetach. Dźwięki surowych głosów ćwiczących wprawki śpiewacze wdzierają się w nocną ciszę, a zapach wyborowych tytoni nasyca powietrze, w którym tabaka, cygara, niemieckie fajki, flety, skrzypce i wiolonczele walczą o pierwszeństwo. Jest to dzielnica pieśni i dymu tytoniowego. Orkiestry uliczne prześcigają się w gorliwości na Golden Square, a głosy wędrownych śpiewaków drżą tutaj mimo woli w chwilach występów.

Taki zakątek może wydawać się niezbyt odpowiednim miejscem do prowadzenia interesów, lecz pan Ralf Nickleby zamieszkiwał tam od wielu lat i bynajmniej się nie uskarżał. Nie znał nikogo z sąsiedztwa i nikt jego nie znał, a mimo

to cieszył się opinią człowieka niezmiernie bogatego. Kupcy utrzymywali, że jest czymś w rodzaju prawnika, a inni sąsiedzi przypuszczali, że to zapewne jakiś faktor nieokreślonej branży; w tych jednak domysłach tyle było ścisłości i prawdy, ile jej zwykle bywa lub być powinno w domysłach na temat cudzych spraw.

Pewnego ranka pan Ralf Nickleby siedział w swoim gabinecie, starannie ubrany do wyjścia. Strój jego składał się z ciemnozielonego spencera narzuconego na niebieski surdut, białej kamizelki i wpuszczonych w wellingtony szarych pantalonów w kratkę. Rożek drobniutko karbowanej krezki koszuli wychylał się na świat, jakby zależało mu, żeby pokazać się między podbródkiem pana Ralfa a najwyższym guzikiem jego spencera. Ten ostatni zaś nie był dostatecznie długi, by zakryć grubą złotą dewizkę, złożoną z gładkich ogniw; brała ona początek u kółka złotego repetiera umieszczonego w kieszeni pana Nickleby, a kończyła się dwoma kluczykami; jeden z nich należał do tego zegarka, drugi zaś do jakiejś misternej kłódeczki. Pan Ralf lekko pudrował włosy, jak gdyby chciał nadać sobie wygląd bardziej dobrotliwy. Jeżeli jednak istotnie do tego zmierzał, powinien był posypywać pudrem również całe oblicze, bowiem w zimnych niespokojnych oczach, a nawet w zmarszczkach przejawiało się wbrew jego woli coś, co świadczyło o przebiegłości. Mniejsza zresztą o to. Pan Ralf Nickleby był zupełnie sam, więc w owej właśnie chwili ani jego puder, ani zmarszczki, ani oczy nie wywierały na nikim dobrego czy złego wrażenia, a zatem i nas nie powinno to teraz zajmować.

Pan Nickleby zamknął księgę rachunkową, która leżała na biurku, rozparł się wygodnie w fotelu i zatopiony w myślach spoglądał w brudne okno. Za pewnymi domami londyńskimi rozciąga się smętny skrawek ziemi, otoczony

zazwyczaj czterema wysokimi bielonymi ścianami, sponad których spoglądają posępnie grupki wykrzywionych kominów. Na takim skrawku ziemi z roku na rok usycha jakieś pokraczne drzewko, które ku powszechnemu zdumieniu dopiero późną jesienią wypuszcza niekiedy parę liści, gdy inne drzewa tracą już swoje, potem zaś więdnie w tym wysiłku i, całe spękane i poczerniałe od dymu, marnieje dalej, aż do następnej jesieni, kiedy to powtórzy taką samą próbę, a może nawet, przy szczególnie sprzyjającej pogodzie, zwabi jakiegoś zreumatyzowanego wróbla, aby ćwierkał wśród tej zieleni. Te ciemne podwórka ludzie nazywają niekiedy „ogrodami”, co nie znaczy wcale, żeby tam kiedykolwiek coś sadzono. Są to raczej skrawki nieuprawnej ziemi o nędznej roślinności, która rozwijać się może wśród kamieni. Nikomu na myśl nie przyjdzie, aby przechadzać się po tym ponurym miejscu albo wykorzystać go w jakimkolwiek innym celu. Wprowadzający się lokator może tam wyrzucić parę starych koszyków, kilka rozbitych butelek i tym podobne śmieci, które pozostaną na miejscu aż do jego wyprowadzki. Wilgotna słoma będzie butwieć tak długo, jak zechce, mieszając się z rzadkim bukszpanem, karłowatymi, wiecznie żółtymi chwastami i z potłuczonymi doniczkami, wszystko to bowiem poniewiera się tam w żałosnym nieładzie, wydane na pastwę błota i czarnych od sadzy mgieł.

W takie to miejsce wpatrywał się pan Ralf Nickleby, kiedy siedząc z rękami w kieszeniach spoglądał przez okno. Utkwił wzrok w koślawej jodełce, posadzonej przez jakiegoś dawnego lokatora w zielonym niegdyś kuble, od lat pozostawionej tu i usychającej gałązka po gałązce. W obiekcie owym nie było nic szczególnie ponętnego, ale pogrążony w zadumie pan Nickleby siedział przypatrując mu się z uwagą, jaką nie raczyłby zaszczycić

najrzadszej egzotycznej rośliny, gdyby działał bardziej świadomie. Wreszcie zwrócił oczy w lewo i spojrzał w kierunku małego, brudnego okienka, za którym majaczyła twarz kancelisty, a że zdarzyło się właśnie, iż poczciwiec ten podniósł oczy znad pulpitu, pan Nickleby skinieniem ręki przywołał go do siebie.

Posłuszny wezwaniu kancelista ześliznął się z wysokiego stołka (któremu nadał wspaniały połysk dzięki częstemu zajmowaniu i opuszczaniu tego miejsca) i wszedł do pokoju pana Nickleby. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku z wyłupiastymi oczami — jedno z nich było nieruchome — z rubinowej barwy nosem i trupią twarzą. Strojem jego (o ile tak można nazwać coś, co bynajmniej nikogo przystroić nie może) było niesłychanie znoszone ubranie, o wiele za ciasne i posiadające tak znikomą ilość guzików, że trzymało się na właścicielu w jakiś zgoła cudowny sposób.

— Czy to już pół do pierwszej, Noggs? — spytał pan Nickleby ostrym, zgrzytliwym głosem.

— Nie więcej niż dwadzieścia pięć po dwunastej według... — Noggs chciał dodać „zegara w szynku”, ale opamiętał się i zastąpił to określenie słowami — ...według prawidłowego czasu.

— Mój zegarek stanął — rzekł pan Nickleby. — Nie wiem, z jakiej przyczyny.

— Nie nakręcony — powiedział Noggs.

— Owszem, nakręcony — odparł pan Nickleby.

— A zatem przekręcony — stwierdził Noggs.

— To nie może być — zauważył pan Nickleby.

— Musi być — rzekł Noggs.

— Hm... — mruknął pan Nickleby chowając repetier do kieszeni. — Może tak jest istotnie.

Noggs wydał osobliwy pomruk, jakim miał zwyczaj kończyć każdą wymianę zdań z chlebodawcą, by zaznaczyć

w ten sposób, że to on (Noggs) odniósł zwycięstwo, a potem (ponieważ rzadko odzywał się nie pytany) zapadł w posępne milczenie i powoli zacierał ręce, aż trzeszczały stawy wykręcanych w zadziwiający sposób palców. Uporczywe powtarzanie tego zabiegu przy lada okazji oraz umiejętność nadania wyrazu nieruchomej martwoty zdrowemu oku, które nie różniło się wówczas od drugiego, tak że nikt nie mógłby w żaden sposób określić, gdzie i na co Noggs spogląda — oto dwa spośród licznych jego dziwactw, które na pierwszy rzut oka zwracały uwagę nawet najbardziej niedoświadczonego obserwatora.

— Zaraz wychodzę do London Tavern [5] — rzekł pan Nickleby.

— Zebranie publiczne? — zapytał Noggs.

Pan Nickleby skinął głową.

— Oczekuję listu od awokata w sprawie hipoteki Ruddle. O ile w ogóle nadejdzie, będzie w poczcie doręczanej o drugiej. O tej mniej więcej porze opuszczę City i będę szedł w stronę Charing Cross, po lewej stronie ulicy. Jeżeli będą jakieś listy, zabierz je i wyjdź mi na spotkanie.

Noggs skinął głową; w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek do kantoru. Zwierzchnik oderwał wzrok od papierów, a kancelista zachował niewzruszony spokój.

— Dzwonek — rzekł Noggs tonem wyjaśnienia. — Jest pan w domu?

— Tak.

— Dla każdego?

— Tak.

— Dla poborcy podatków?

— Nie. Niech przyjdzie jeszcze raz.

Noggs wydał swój zwykły pomruk, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Właśnie tak myślałem” i podążył do drzwi, ponieważ dzwonek rozległ się powtórnie. Wrócił niebawem i wymieniwszy nazwisko pana Bonneya, wpuścił bladego

dżentelmena, który wpadł do pokoju z ogromnym pośpiechem. Gość wyglądał, jakby wyrwano go w nocy z głębokiego snu i jakby dotychczas nie zdążył się ubrać: zmierzwiony włos sterczał mu na głowie we wszystkie strony, a bardzo wąski biały krawat zawiązany był nader niedbale.

— Kochany Nickleby — rzekł przybyły zdejmując biały cylinder tak wypchany papierami, że ledwie trzymał mu się na głowie — nie ma chwili do stracenia. Dorożka czeka przed drzwiami. Fotel prezydialny zajmie sir Matthew Pupker. Trzech członków Parlamentu przybędzie z całą pewnością. Dwu z nich przed chwilą wyciągnąłem z łóżek. Trzeci, który spędził całą noc u Crockforda, poszedł właśnie do domu, żeby włożyć czystą koszulę i odświeżyć się paroma flaszkami wody sodowej. Na pewno zdąży na czas i zabierze głos na zebraniu. Jest trochę podniecony po dzisiejszej nocy, ale to nic nie szkodzi, bo w takim stanie przemawia zawsze z większą werwą.

— Wszystko zapowiada się jak najlepiej — odparł pan Ralf Nickleby, którego flegmatyczne zachowanie silnie kontrastowało z ożywieniem wspólnika.

— Jak najlepiej! — powtórzył jak echo pan Bonney. — To najwspanialsza myśl, jaką kiedykolwiek rzucono! „Zjednoczone Stołeczne Towarzystwo Akcyjne Udoskonalonego Wypieku i Szybkiej Dostawy Racuszków i Gorących Grzanek — kapitał pięć milionów, podzielony na pięćset tysięcy akcji po dziesięć funtów każda”. Cóż pan chce! W dziesięć dni sama nazwa zapewni akcjom kurs wyższy od nominalnego.

— A gdy już osiągną taki kurs?... — powiedział pan Ralf Nickleby z uśmiechem.

— Gdy już osiągną taki kurs, wtedy pan będzie wiedział najlepiej, co z nimi zrobić i jak usunąć się po cichu i we właściwym czasie — rzekł pan Bonney, poufale klepiąc

kapitalistę po ramieniu. — Ale, nawiasem mówiąc, cóż to za osobliwy okaz, ten pański kancelista!

— Biedak! — odrzekł pan Ralf naciągając rękawiczki. — A był czas, kiedy Newman Noggs miał własną stajnię i psiarnię.

— Doprawdy? — rzucił tamten obojętnie.

— Tak — ciągnął pan Ralf. — I to nawet niezbyt dawno. Ale szastał pieniędzmi, lokował je nie wiadomo jak, zapożyczał się na procent, jednym słowem, najprzód zrobił z siebie durnia, a potem żebraka. Zaczął pić; miał atak paraliżu, aż wreszcie zgłosił się tutaj, żeby pożyczyć funta, bo za jego lepszych czasów ja...

— ...prowadziłem z nim interesy — dokończył pan Bonney z wiele mówiącym spojrzeniem.

— Nie inaczej — przyznał pan Ralf. — Rozumie pan, że nie mogłem udzielić tej pożyczki.

— Rzecz oczywista!

— Ponieważ szukałem wówczas kancelisty do otwierania drzwi i tam dalej, przyjąłem go więc z litości i odtąd pozostał u mnie — mówił pan Ralf siląc się na minę osoby wielce litościwej. — Jest trochę niespełna rozumu, ale zupełnie przydatny, biedaczysko, zupełnie przydatny.

Litościwy dżentelmen zapomniał dodać, że Newman Noggs, znalazłszy się w skrajnej nędzy, służył mu za wynagrodzenie mniejsze niż przeciętna zapłata trzynastoletniego chłopca. Nie wspomniał też w tym zwięzłym życiorysie, że chorobliwa małomówność Newmana Noggsa była cechą szczególnie pożądaną miejscu, gdzie odbywały się różnego rodzaju transakcje, o których najmniejsza wzmianka nie powinna wydostać się poza drzwi tego domu. Ponieważ jednak drugi dżentelmen niecierpliwił się wyraźnie, pan Nickleby, przez roztargnienie być może, pominął te małoważne

szczegóły i nie zwlekając dłużej pospieszył wraz z gościem do czekającej dorożki.

Kiedy dojechali na miejsce, na Bishopsgate Within panował ogromny ścisk. Po drugiej stronie ulicy sześciu mężczyzn walczyło (dzień był szczególnie wietrzny) z olbrzymim plakatem, głoszącym, że punktualnie o godzinie pierwszej odbędzie się publiczne zebranie, na którym rozpatrzona zostanie sprawa złożenia w Parlamencie petycji o zalegalizowanie „Zjednoczonego Stołecznego Towarzystwa Akcyjnego Udoskonalonego Wypieku i Szybkiej Dostawy Racuszków i Gorących Grzanek — kapitał pięć milionów, podzielony na pięćset tysięcy akcji po dziesięć funtów każda”. Liczby te były nader wyraźnie wypisane czarnymi cyframi pokaźnych rozmiarów. Wchodząc na schody pan Bonney energicznie rozpychał się łokciami, witany po drodze niskimi ukłonami licznej służby, która stała na półpiętrach, by wskazywać drogę, aż wreszcie zniknął wraz ze spieszącym za nim panem Nickleby w drzwiach prowadzących do amfilady pokojów położonych za wielką salą. W drugim z tych pokojów znajdowało się kilkunastu panów sprawiających wrażenie poważnych ludzi interesu i stół o niemniej poważnym wyglądzie.

— Proszę tutaj! — zawołał na widok pana Bonneya jakiś jegomość z podwójnym podbródkiem. — Do prezydium, panowie! Prosimy do prezydium!

Nowo przybyłych powitano z wielkim uznaniem, a pan Bonney przecisnął się do pierwszych miejsc przy stole, zdjął cylinder, palcami przeczesał włosy i małym młotkiem zamaszyście uderzył w stół. Kilkunastu dżentelmenów zawołało: „Słuchajcie!”, i zaczęło kiwać do siebie głowami, jak gdyby chcieli wyrazić uznanie dla tak zdecydowanego sposobu postępowania. W tej właśnie chwili półprzytomny z przejęcia lokaj wtargnął do pokoju i z trzaskiem

otworzywszy drzwi na rozcież, krzyknął: „Sir Matthew Pupker!”

Prezydium powstało i zaczęło klaskać z zadowolenia, a gdy tak uderzało w dłonie, do pokoju wkroczył sir Matthew Pupker w otoczeniu dwu autentycznych członków Parlamentu — jednego z Irlandii i jednego ze Szkocji. Wszyscy oni uśmiechali się, kłaniali i wyglądali tak ujmująco, że niepodobna było przypuścić, aby ktokolwiek mógł się kiedyś zdobyć na głosowanie przeciw nim. Zwłaszcza sir Matthew Pupker, który miał małą, okrągłą głowkę z lnianą peruką tkwiącą na samym jej czubku, wpadł w taki paroksyzm ukłonów, że peruce w każdej chwili groził upadek. Kiedy objawy te częściowo ustąpiły, dżentelmen znający osobiście sir Matthew Pupkera lub dwu pozostałych członków Parlamentu skupili się wokół nich w trzech niewielkich grupkach, w pobliżu których dżentelmeni nie znający osobiście sir Matthew Pupkera ani dwu pozostałych członków Parlamentu kręcili się, uśmiechali i zacierali ręce, żywiąc widocznie rozpaczliwą nadzieję, że może wydarzyć się coś, co zwróci na nich uwagę wielkich ludzi. Gdy się to wszystko działo, sir Matthew Pupker i dwu pozostałych członków Parlamentu mówili poszczególnym kółkom swych słuchaczy o stanowisku rządu w sprawie przeprowadzenia uchwały, przy czym informowali oni szczegółowo, co rząd szepnął im na ucho, kiedy to ostatni raz jedli z nim obiad, a także jak rząd mrugał wtedy znacząco, z których to przesłanek nie omieszkali wyciągnąć wniosku, że jeśli rządowi zależy na czymś bardziej niż na czymkolwiek innym, to tym czymś jest niewątpliwie sprawa powodzenia i rozwoju „Zjednoczonego Stołecznego Towarzystwa Akcyjnego Udoskonalonego Wypieku i Szybkiej Dostawy Racuszków i Gorących Grzanek”.

W tym czasie, a także później, gdy układano porządek dzienny i ustalano właściwą kolejność przemówień, publiczność w wielkiej sali gapiła się na przemian to na pustą estradę, to na damy na galerii dla orkiestry. Większa część zebranych oddawała się tym rozrywkom już od paru godzin, a że najprzyjemniejsza nawet zabawa traci smak, gdy cieszyć się nią zbyt długo, osoby bardziej zdecydowane zaczęły uderzać obcasami o podłogę i wyrażać swe niezadowolenie rozmaitymi wrzaskami i rykiem. Te popisy wokalne urządzali ludzie, którzy przebywali tam najdłużej, a więc naturalnym porządkiem rzeczy znajdowali się najbliżej wzniesienia dla prezydium i najdalej od pełniących służbę policjantów. Ci ostatni nie bardzo mieli ochotę na torowanie sobie drogi wśród tłumu, niemniej jednak, żywiąc chwalebne pragnienie podjęcia kroków, które zmierzałyby do przywrócenia porządku, zaczęli niezwłocznie szarpać za poły i kołnierze surdutów najspokojniejszych ludzi stłoczonych w pobliżu drzwi. Jednocześnie rozdawali wokół zamaszyste i donośne razy pałkami, na wzór znakomitego aktora, pana Puncha [6], którego ten odłam władzy wykonawczej naśladuje czasami zarówno pod względem kształtu posiadanej broni, jak i sposobów jej używania.

Kilka nader interesujących bójek było właśnie w pełnym toku, kiedy głośny okrzyk zwrócił uwagę wszystkich, nawet stron walczących, i z bocznych drzwi wysunął się na wzniesienie długi sznur dżentelmenów. W rękach trzymali cylindry i oglądając się za siebie wiwatowali głośno; przyczynę tego zachowania dostatecznie wyjaśniło rychłe ukazanie się sir Matthew Pupkera i dwu pozostałych autentycznych członków Parlamentu. Dżentelmeni owi wśród ogłuszających wrzasków wystąpili naprzód i przy pomocy gestów przekonywali się nawzajem,

że na przestrzeni całej swej kariery publicznej nie oglądali nigdy czegoś tak wspaniałego.

Wreszcie, po dłuższym czasie, zgromadzenie przestało wrzeszczeć, ale wybór sir Matthew Pupkera na przewodniczącego wywołał nawrót entuzjazmu, który trwał pełne pięć minut. Gdy zaś i ten minął, sir Matthew Pupker zaczął mówić o tym, co on sam musi odczuwać w tak doniosłej chwili i jakie znaczenie musi mieć ta doniosła chwila w oczach całego świata, i jak niezwykłą musi być bystrość zgromadzonych przed nim rodaków, i jak niezwykłymi muszą być majątki i stanowiska siedzących za nim jego szanownych przyjaciół, i wreszcie, jakie znaczenie dla bogactwa, szczęścia, dobrobytu, swobód, po prostu dla samego istnienia wielkiego i wolnego narodu musi mieć taka instytucja, jak „Zjednoczone Stołeczne Towarzystwo Akcyjne Udoskonalonego Wypieku i Szybkiej Dostawy Racuszków i Gorących Grzanek”.

Następnie powstał pan Bonney, by zgłosić projekt pierwszej rezolucji. Prawą ręką przeczesywał włosy, lewą wsunął swobodnie za klapę surduta i powierzywszy cylinder opiece jegomościa z podwójnym podbródkiem, który to jegomość walnie sekundował wszystkim mówcom, oświadczył, że odczyta projekt pierwszej rezolucji: „… że zebrani spoglądają z niepokojem i obawą na istniejący stan handlu grzankami w stołecznym mieście i najbliższych okolicach; że przeświadczeni są, iż roznosiciele grzanek w obecnym stanie rzeczy w zupełności nie zasługują na publiczne zaufanie; że uważają cały system zaopatrzenia w grzanki za zgubny dla moralności i zdrowia ogółu, a także za szkodliwy dla najistotniejszych interesów wielkiej społeczności przemysłowej i handlowej”. Czcigodny dżentelmen wygłosił potem mowę, którawycisnęła łzy z oczu dam, a wszystkich obecnych przejęła najżywszym wzruszeniem. Mówił, iż odwiedzał domy biedaków

w rozmaitych dzielnicach Londynu i nie znalazł tam najmniejszych śladów grzanek, których, jak można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, część ubogiej ludności nie bierze do ust przez cały okrągły rok. Stwierdził ponadto, że wśród sprzedawców grzanek szerzy się pijaństwo, rozpusta i marnotrawstwo, co przypisuje on demoralizującym wpływom wykonywanego przez nich zawodu. Podobnie gorszące objawy zauważył wśród uboższych warstw społeczeństwa, które to warstwy powinny być konsumentami grzanek, ale nie są. Ten zaś gorszący stan rzeczy przypisuje rozpaczy z powodu niedostępności tak posilnego artykułu spożywczego, co doprowadza uboższe warstwy do szukania fałszywej podniety w spirytualiach. Podejmuje się dowieść przed komisją Izby Gmin, że istnieje zmowa mająca na celu utrzymanie wysokich cen grzanek i zapewnienia monopolu posługującym się dzwonkiem roznosicielom [7]. Dowiedzie tego przed właściwą komisją Wysokiej Izby na podstawie przesłuchania roznosicieli grzanek. Podejmuję się wreszcie dowieść, że ludzie, o których mowa, porozumiewają się tajemniczymi słowami czy znakami, takimi na przykład jak „Snooks”, „Walker”, „Ferguson”, „Jak się miewa Murphy?” [8] i wieloma innymi. Ten właśnie opłakany stan rzeczy Towarzystwo zamierza naprawić — po pierwsze, przez zakaz wszelkiego prywatnego handlu grzankami, w jakiejkolwiek bądź postaci, pod groźbą surowych kar; po drugie, przez zaopatrzenie całego społeczeństwa w grzanki lepszej jakości i po zniżonej cenie oraz przez dostarczenie ich wprost do domów uboższym tego społeczeństwa przedstawicielom. Ten to właśnie cel miał przed oczyma przewodniczący zebrania, człowiek o sercu gorącego patrioty, sir Matthew Pupker, gdy wniósł do Parlamentu projekt uchwały legalizacyjnej. Ten to właśnie projekt mają poprzeć dzisiaj zgromadzeni.

Ci zaś, którzy go poprą, okryją Anglię nieśmiertelnym blaskiem i chwałą, która rozbrzmiewać będzie pod nazwą: „Zjednoczone Stołeczne Towarzystwo Akcyjne Udoskonalonego Wypieku i Szybkiej Dostawy Racuszków i Gorących Grzanek”, do której to nazwy należy dorzucić kapitał pięciu milionów, podzielony na pięćset tysięcy udziałów po dziesięć funtów każdy.

Pan Ralf Nickleby poparł rezolucję, a pewien dżentelmen zaproponował do niej poprawkę, a mianowicie, by po słowie „grzanki” dodać wszędzie słowo „racuszki”, po czym pierwsza rezolucja została entuzjastycznie przyjęta. Tylko jeden człowiek w tłumie zawołał: „Nie!”, ale szybko się nim zaopiekowano i po prostu wyrzucono go za drzwi.

Ponury dżentelmen o wyglądzie duchownego wniósł projekt drugiej rezolucji, domagającej się niezwłocznego zawieszenia czynności „wszystkich sprzedawców grzanek (lub racuszków) oraz handlarzy tychże grzanek (lub racuszków), w jakiejkolwiek bądź postaci, bez względu na okoliczność, czy zajmują się tym mężczyźni, czy kobiety, dorośli czy dzieci, czy posługują się dzwonkiem ręcznym, czy też czymś innym”. Dżentelmen ten rozpoczął swą mowę z tak głębokim patosem, że w jednej chwili zapędził w kozi róg poprzedniego mówcę. Można było usłyszeć padającą szpilkę — ba, nawet piórko! — kiedy opisywał, w jak okrutny sposób traktowani są przez chlebodawców nieletni roznosiciele grzanek. Okrucieństwa te, jak rozsądnie wywodził, same przez się są wystarczającym powodem uzasadniającym powołanie do życia tego nieocenionego Towarzystwa. Wszystkim wiadomo, że nieszczęsnych chłopców wygania się co wieczór w najsurowszych nawet porach roku na ciemne ulice, gdzie muszą godzinami wędrować na deszczu — czasami może być to śnieg lub grad — bez dachu nad głową, pożywienia i ciepła. Niech szanowna publiczność raczy nie zapominać,

że jeżeli mowa o cieple, grzankom dostarcza się odpowiednich okryć i kołderek, których nie dostarcza się roznosicielom, zdanym wyłącznie na własne, nader skąpe środki. (Okrzyki: „Hańba!”) Czcigodny dżentelmen opowiedział o wypadku pewnego roznosiciela grzanek. Był on przez pięć lat ofiarą tych barbarzyńskich i nieludzkich zwyczajów i w rezultacie przeziębił sobie głowę, skutkiem czego zamierał stopniowo, dopóki pewnego razu nie spocił się przypadkiem i nie wyzdrowiał. Za przytoczony fakt mówca może ręczyć całym swym autorytetem, ale słyszał o jeszcze bardziej przerażających i mrożących krew w żyłach wydarzeniach, o prawdziwości których bynajmniej nie ma powodu wątpić. Słyszał na przykład o roznosicielu grzanek, sierocie, który został przejechany przez dorożkę i odwieziony do szpitala, gdzie poddano go amputacji nogi poniżej kolana. Biedak ten pełni teraz swój zawód chodząc o kulach! Sprawiedliwy Boże! Czy długo będą trwały podobne rzeczy?!

Takie właśnie tematy porywały zgromadzonych, taki właśnie styl przemówień zyskiwał sprawie zwolenników. Mężczyźni wrzeszczeli, damy wylewały łzy w chusteczki, dopóki te nie przemokły, a następnie powiewały nimi, dopóki znowu nie wyschły. Wzruszenie było wprost niesłychane, a pan Nickleby szepnął swemu przyjacielowi, że akcje skoczyły w tej chwili do dwudziestu pięciu procent powyżej wartości nominalnej.

Rezolucję przyjęto naturalnie przez głośną aklamację. Wszyscy zebrani głosowali „tak”, podnosząc obie ręce, a wśród powszechnego entuzjazmu podnieśliby zapewne i obie nogi, gdyby dało się to wykonać w stosunkowo wygodny sposób. Po tych uchwałach odczytano wreszcie projekt petycji, która mówiła, jak wszystkie petycje nieodmiennie mówią, że proszący są niesłychanie uniżeni, proszeni — niezwykle czcigodni, sama zaś sprawa —